

## Od kryzysu do własnego modelu

Obecny kryzys nie jest po prostu kryzysem jednego lub drugiego banku albo państwa, ale kryzysem całego porządku – modelu demokratycznego kapitalizmu w zachodnim stylu



Obecny kryzys nie jest po prostu kryzysem jednego lub drugiego banku albo państwa, ale kryzysem całego porządku – modelu demokratycznego kapitalizmu w zachodnim stylu

Przechodzimy przyśpieszony kurs ekonomii. Wielu z nas nadrabia zaległości w zakresie gospodarki i finansów. Do niedawna obszar ten był często, zwłaszcza w naszej części Europy, uważany przez intelektualistów za mało ciekawy. Stanowił domenę nudnych technokratów porozumiewających się między sobą niezrozumiałą dla większości nowomową. Przed rokiem 2008 wydawało się, że w

rozwiniętej gospodarce zachodniej nic specjalnego nie może nas już zaskoczyć, że wszystko tutaj jest dobrze wiadome. W pełni dojrzała zachodnia gospodarka przypominała dobrze naoliwiony przez ekspertów mechanizm, który nie kryje w sobie żadnych wielkich tajemnic dla nowoczesnego człowieka.

Kryzys finansowy obnażył tę iluzję. Pokazał, że w świecie gospodarki i finansów nie ma żadnych ostatecznych pewników, że nowoczesne społeczeństwa Zachodu nie posiadły „filozoficznego kamienia” ekonomii. Zmusił do powrotu do najbardziej podstawowych pytań: czy wzrost gospodarczy jest zawsze wzrostem, ile warta jest ludzka praca i jak jej wartość przekłada się na wartość ludzkiego życia, co decyduje o wartości produktów, którymi obracamy na rynku, czy racjonalność rynku jest rzeczywiście racjonalna, czym w obecnym świecie jest własność i jaką rolę odgrywa w nim pieniądz?

Kryzys sprawił, że mogliśmy ponownie zobaczyć, jak bardzo ekonomiczne zachowania, nawet w zglobalizowanym świecie, są sprzężone z kulturą, polityką i porządkiem społecznym. Gospodarka nie jest bowiem żadną wydzieloną, samodzielnią domeną praw, mechanizmów czy procesów. Popularność, jaką zdobyła ostatnio książka Tomáša Sedláčka o *Ekonomii dobra i zła*, zdaje się wynikać ze świadomości, że nasze dotychczasowe poglądy na ekonomię były bardzo jednostronne i ubogie. Dzięki kryzysowi mogliśmy zobaczyć więcej. Podważono wiele z wcześniejszych tak zwanych ortodoksyjnych przekonań, na przykład o spontanicznej racjonalności rynku, o neutralnym charakterze pieniądza, o ograniczonej roli państwa w gospodarce czy apolityczności ekonomii. W ich miejsce pojawiła się przestrzeń refleksji i fermentu. Ale przede wszystkim możemy

ponownie odkrywać naturę samego kryzysu, który przed 2008 rokiem wydawał się zjawiskiem albo całkowicie minionym, albo występującym wyłącznie na peryferiach.

W liberalnej myśli gospodarczej realność kryzysu była mocno kontestowana. Nic dziwnego – czym bowiem jest kryzys? Parafrazując słynne zdanie świętego Augustyna o naturze czasu, można by śmiało powiedzieć: niby zawsze wiemy, czym jest kryzys, im bardziej jednak o nim myślimy, tym mniej staje się uchwytne. Być może niejednoznaczność pojęcia bierze się stąd, że rozumienie kryzysu wynika przede wszystkim z kultury. Na tej podstawie tworzą się różne interpretacje kryzysu. Liberalizm, który oddziela gospodarkę od kultury (a więc od społeczeństwa oraz polityki) jako autonomiczną sferę racjonalności rynkowej, skłaniał się będzie do przekonania, że w sensie ekonomicznym niczego takiego jak kryzys nie ma. Są cykle rozwoju, zakłócenia koniunkturalne, ale w świecie spontanicznej samoregulacji kryzysu jako sytuacji gospodarczej po prostu być nie może.

Dlatego Knut Borchardt na jednym ze spotkań w Castel Gandolfo stwierdził, że z liberalnego punktu widzenia kryzys jest zawsze konstrukcją polityczną w grze o władzę lub wytworem opinii publicznej oraz mediów. Innymi słowy, o kryzysie można mówić w przestrzeni publicznej, można ustanawiać go politycznie lub odwoływać, ale on sam, jako fenomen gospodarczy, nie istnieje. Faktycznie, jakie kryteria na gruncie ekonomii miałyby opisywać sytuację kryzysu? Jaki poziom wzrostu, bezrobocia czy inflacji będziemy uznawać za granicę, od której rozpoczyna się kryzys? Są to w istocie decyzje arbitralne. Być może kryzysu nie da się zobiektywizować, bowiem zawsze zależy on od partykularnych interesów, wartości, oczekiwań, poglądów czy doświadczeń. Jedni będą definiować kryzys jako moment przełomu. Dla

innych to sytuacja, w której normalny proces rozwoju został zakłócony. Można także uznać, że kryzys to sytuacja utraty równowagi. Za kryzys możemy także uznać stan, w którym system traci zdolność do adaptacji przez zmianę – tego mniej więcej uczyłyby nas organiczna teoria twórczej destrukcji Josepha Schumpetera. Nawet w obszarze prawa, gdzie wymagana jest o wiele większa doza precyzji i gdzie sytuację kryzysu ustrojowego próbuje się opisać za pomocą kategorii stanu wyjątkowego, trudno jest obiektywnie wyznaczyć moment początku i końca kryzysu (co pokazał Carl Schmitt).

Idąc tropem wyznaczonym przez Alaina Touraine'a, warto zapytać: jaka jest obecnie zdolność zbiorowego działania określonych aktorów w sytuacji kryzysu? Jego odpowiedź jest pesymistyczna – zdolność do zbiorowego działania została utracona, przez co żyjemy w czasach bez porządku społecznego. Gdyby jednak odwrócić rozumowanie Touraine'a w stronę bardziej optymistycznego rozwiązania, można jego myśl wykorzystać do następującej definicji kryzysu: kryzys to moment, w którym zdolność do wspólnego działania musi się na nowo ukonstytuować. Z tą definicją korespondują analizy innego socjologa, Colina Croucha, które pozwalają także lepiej zrozumieć, do czego dokładnie owa zdolność do wspólnego działania miałyby się odnosić. Badając kryzys neoliberalizmu, Crouch stwierdza, że obecny kryzys finansowy podważa całą strukturę zachodniego porządku i dlatego ma potencjalnie przełomowy charakter. Jego zdaniem kryzys skończy się dopiero wtedy, kiedy na nowo ułożone zostaną relacje między trzema podstawowymi elementami tego porządku - państwami, rynkami i społeczeństwami demokratycznymi.

Warto wsłuchać się w analizy Touraine'a czy Croucha, ponieważ pozwalają one zrozumieć, że obecny kryzys nie jest po prostu kryzysem jednego lub drugiego banku albo państwa, ale kryzysem całego porządku – modelu demokratycznego kapitalizmu w zachodnim stylu. „Tym razem jest inaczej” – ostrzegał w 2008 roku Robert Reich, były minister pracy w administracji Clintona, wskazując na systemowy charakter finansowego załamania w Stanach Zjednoczonych.

Kiedy załamuje się pewien porządek rzeczy, wszyscy zaczynają szukać dla siebie nowego miejsca. Konkurujące z Zachodem nowe rynki dążą do wyrównania własnych szans w zglobalizowanym świecie. Tworzą także własne modele rozwoju, które nie muszą już opierać się na zapożyczonych z zachodniej tradycji założeniach wolnego rynku i demokracji. Zmienia się także układ sił wewnątrz Zachodu, gdzie szczególnie peryferie poszukują własnych dróg rozwoju, broniąc się przed ponoszeniem nadmiernych kosztów kryzysu. Jest to dokładnie ten moment prawdy, w którym kryzys weryfikuje w każdym państwie i społeczeństwie zdolność do wspólnego działania w ramach własnego porządku. Ci, którzy taką zdolność wykażą, wygrają. Pozostali przegrają z kretesem.

Właśnie dlatego obecny kryzys ma kluczowe znaczenie dla Polski. Dokonania gospodarczej i ustrojowej transformacji ostatnich dwudziestu pięciu lat są z dzisiejszej perspektywy jakby z innego świata. Polska transformacja miała miejsce w bardzo specyficznym momencie rozwoju Zachodu. Przełom lat 80. i 90. to przede wszystkim czas wielkiego triumfu idei tzw. neoliberalnej rewolucji. Jej zwolennicy twierdzić będą, że to ona właśnie pozwoliła wielu zachodnim krajom wyjść z inflacji, zredukować zadłużenie (szczególnie w krajach

anglosaskich) i uruchomić imponującą dynamikę gospodarczego rozwoju, a wraz z tym rosnącej społecznej zamożności. Jest to czas wielkich nadziei pokładanych w procesie globalizacji oraz czas optymizmu związanego z integracją europejską. Neoliberalna rewolucja opierała się na pewnych założeniach, które przyjęto w Polsce jako nienaruszalne zasady nowoczesnego, zachodniego świata. Mówiły one, że jedynym źródłem działania w świecie jest jednostka, a nie struktura społeczna, że dobrobyt i postęp biorą się ze spontanicznych żywiołów wolnego rynku oraz że państwo i polityka jako obszary zorganizowanej nieodpowiedzialności oraz niepotrzebnych kosztów muszą być maksymalnie ograniczone. Dzisiaj wiele z tamtych założeń zostało podważonych. Spontaniczne żywioły rynku, szczególnie globalnego rynku finansowego, potrafią wywrócić każdą łódź, nawet tak stabilną jak strefa euro. Czy jednak wiemy, co mamy z tą nową wiedzą zrobić?

Neoliberalna recepta, którą przejęliśmy w 1989 roku, kierowała naszą uwagę na rynek. To on był postrzegany jako główny, o ile nie jedyny, motor przemian. Z czasem jednak, wraz z pojawianiem się różnego rodzaju nadużyć w reformach rynkowych w Polsce oraz coraz dotkliwiej odczuwanych ich społecznych kosztów, wyraźniej zaczął się krystalizować pogląd konkurencyjny do neoliberalnego. Uwaga skupiła się wtedy wokół słabości państwa. Słynna teza o „szarpnięciu cugłami”, która pojawiła się w 2005 roku ze strony różnych zwolenników projektu IV RP, wyrażała przekonanie, że to kontrola i siła państwa musi stanowić fundament zmiany. Patrząc na ostatnie ćwierćwiecze polskich sporów, można powiedzieć, że skupiały się one mniej lub bardziej wokół jednej osi podziału – z jednej strony byli niezmordowani obrońcy wolnego rynku, z drugiej zwolennicy nieco staroświeckiego państwa. To, co zadziwia w tym manicheizmie, to brak świadomości znaczenia struktury społecznej jako trzeciego, niezbędnego elementu każdej

sensownej strategii odpowiedzialnego rozwoju. O ile rynek czy państwo mają w Polsce swych zadeklarowanych obrońców, to ład społeczny jako wyraz pewnego modelu życia praktycznie nie istnieje w naszej polityce ani w naszym myśleniu o przyszłości. Można zrozumieć, dlaczego pogląd ten dominował w sferze publicznej na początku lat 90., kiedy struktura społeczna była postrzegana przede wszystkim jako kłopotliwy spadek po komunizmie i przeszkoda na drodze do przeprowadzenia koniecznych reform. Jednak dzisiaj już tak nam myśleć nie wolno.

Spółeczeństwo jako struktura musi stać się równorzędnym partnerem państwa i rynku w Polsce. Stanowi to warunek konieczny do odzyskania zdolności do myślenia o Polsce jako całości oraz poszukiwania dla niej modelu bezpiecznego rozwoju, adekwatnego do kryzysowych warunków wyższego ryzyka i niepewności. Model rozwoju, na który byliśmy zorientowani przez ostatnie dwie dekady, model zachodniego demokratycznego kapitalizmu z jego obietnicą szerokiej i stabilnej klasy średniej oraz niekończącym się nigdy wzrostem gospodarczym być może właśnie odchodzi do historii. Aspirowaliśmy w Polsce do wzorców, w które Zachód sam już dzisiaj nie wierzy. To sytuacja, w której sami musimy odpowiadać na najważniejsze pytania. Sami musimy określić cele, oszacować zasoby, zmobilizować ludzi do działania. Taką zdolność nazywamy polityką. Tylko polityka potrafi wyznaczać strategiczne cele, komunikować je oraz poszukiwać sposobu ich legitymizacji. Spółeczeństwo jako struktura zakorzeniona w kulturze, z jej wartościami, sposobem życia i doświadczeniami historycznymi stanowi dla polityki najważniejsze wsparcie. Reszta zależy od gospodarki, w której możliwie szeroka powinna być sfera ekonomicznego działania przedsiębiorczych, pracowitych, odpowiedzialnych jednostek.

*Marek A. Cichocki*

*Tekst pierwotnie ukazał się w wydaniu drukowanym "Res Publici  
Nowej" nr 221 (3/2015) © Res Publica Nowa.*